

I DĄC na premierę sztuki Dürrenmatta o tytule, w którym widnieje nazwisko znakomitego dramaturga, Strindberga, widz ma prawo spodziewać się, używając języka muzycznego — „wariacji na temat”. Wariacje powstają na kanwie jakiejś frazy muzycznej, stanowią jednak zupełnie odrębne i oryginalne dzieło. Dramaturdzy także często posługują się dawniejszą twórczością czy to dramaturgiczną, czy też literacką do stworzenia sztuki nowej, operującej współczesnym językiem i rzucającej nowe światło na przysypane kurzem wieków problemy międzyludzkie.

Takiej właśnie oryginalnej twórczości „na kanwie” spodziewa się widz po autorze „Wizyty starszej pani” i „Fizyków”, bądź co bądź jednym z czołowych współczesnych dramaturgów. Tymczasem.. odbieramy ze sceny autentyczny tekst „Tańca śmierci” Strindberga, który mamy świeżo w pamięci z doskonałego spektaklu Telewizji gdańskiej, tylko nieco skrócony i podzielony na „rundy”, różniący się interpretacją od tradycyjnej. Aktorzy nie wcielają się w postacie sztuki, ale pozostają aktorami, którzy przedstawiają scenki, a na gong wyłączają się z gry, aby po paru „zakulisowych zabiegach” i następnym gongu zacząć następną „scenkę”. To przerywanie

ciągłości akcji i przypomnienie widzowi o jej fikcyjności zmusza do „przymruzenia oka” zarówno widza, jak i aktorów, a więc z dramatu psychologicznego mamy tym sposobem ponurą i cyniczną groteskę, która wywołuje na widowni dość liczne wybuchy śmiechu. Śmiech to zdrowie, ale jak w tym wygląda autor? Na czym polega jego autorstwo i czy to

„PLAY STRINDBERG”

jest FAIR PLAY wobec Strindberga? Autorstwo obowiązuje do własnego tekstu — tymczasem Dürrenmatt bierze tan tiemy (i to duże, bo sztuka ponoć modna na Zachodzie) za tekst pół wieku temu zmarłego autora. A czego dokonał? Skreślił tekstu — to robi każdy reżyser, który ponadto korzysta z prawa do własnej inscenizacji dzieła, a nie uważa się z tego powodu za jej autora. A więc jedynym tytułem do autorstwa może być ów podział na rundy wprowadzający nastrój meczu bokserskiego i zmieniający interpretację aktorską, a w efekcie stawiający na głowie ideę Strindberga.

STRINDBERG w sposób naturalistyczny i krańcowo drastyczny przedstawiał konflikty ludzi zaślepionych egotyzmem, których nieuzasadniona pycha izoluje od społeczności i którzy w tej izolacji pogłębiają w sobie mizantropię i okrucieństwo wobec najbliższego otoczenia, a doprowadzał w akcji do najostrejszych spieć, aby wstrząsnąć zmu-

się do opamiętania. — Można Strindberga wystawiać i oglądać, albo i nie, ale nie wolno go wyszydzać. To zabieg zbyt łatwy i „nieczysty”. Nie trzeba być nawet pisarzem, aby na przykład „Dziady” posiekać na rundy, „obciachać”. „Wielką Improwizację” i co dłuższe monologi. **A** przecież konflikty i typy ludzkie Strindberga, niestety, są jeszcze bardzo żywe i bardzo aktualne i wciąż jeszcze powinny wstrząsać psychiką. Sztuki Strindberga są grane w teatrach całego kulturalnego świata i zupełnie są im niepotrzebne bokserskie zabiegi pana Dürrenmatta.

SPEKTAKL Teatru im. S. Jaracza, którego premiera odbyła się w Elblągu, wyreżyserowała Wanda Laskowska. Pominawszy moje zastrzeżenia co do samego wyboru sztuki, zrobiła to znakomicie. Tempo, sytuacje, dawkowanie napięć konfliktowych, uwypuklenie point poszczególnych rund — bez zarzutu.

Zbigniewa **Szpechta** w roli Edgara oczywiście nie możemy przymierzać do kreacji telewizyjnej Szalewskiego — w rundach Dürrenmatta ma być typem groteskowym i to mu się znakomicie udaje. Wanda **Bajerówna** nie tworzy już tak idealnie jednolitej postaci — trochę w niej z Dürrenmatta, ale i wiele ze Strindberga, może dlatego jest bardziej prawdziwa i ludzka, a mniej śmieszna.

NATOMIAST Waclaw **Rybczyński** jako Kurt, zupełnie nie „referuje”, a stworzył świetną postać ban kruta życiowego, który manierami lorda chce stworzyć może ostatnią szansę urzadzenia sobie życia. On się na gong nie wyłącza — jest ciągle postacią, która na moment tylko zastygła jakby w zadumie.

Spektakl można polecić chyba tylko koneserom sztuki teatralnej, którzy znając Strindberga obejrzą sobie te „rundy” jako ciekawostkę, natomiast przeciętny widz nie wyrobi sobie zdania ani o Strindbergu, ani o Dürrenmacie.

Janina RAYSKA